

Tomasz Sobieraj

**Gonzalo Torrente Ballester WYSPA ŚCIĘTYCH HIACYNTÓW,
czyli jak spalić dobry temat**

Zwykle kiedy czytam książkę mam wrażenie, graniczące często z pewnością, że autorzy not wydawniczych i recenzenci tej książki nie czytali. No, może czytali ją w przerwach podczas wykonywania różnych znacznie bardziej absorbujących czynności albo używali popularnej wśród pewnej grupy techniki szybkiego czytania. Może też mieli innych niż ja nauczycieli literatury. Nie wiem, wiem jednak na pewno, że zazwyczaj to, co czytam, nie pasuje do tego, co chciałem przeczytać zwabiony reklamą i entuzjastycznymi wypowiedziami wydawców, tłumaczy, żurnalistów i innych zainteresowanych bardziej stroną merkantylną literatury niż jej istotą, czyli treścią, formą, pisarskim warszatem. W przypadku książki Gonzalo Torrente Ballestera pod tytułem „Wyspa Ściętych Hiacyntów” było podobnie. Chciałem przeczytać coś lekkiego, z ciekawą fabułą, ale jednocześnie mądrego, by nie mieć poczucia, że tracę czas na literaturę pociągową. Powieść Ballestera wydawała się spełniać te wymagania – w końcu to uznany galicyjski pisarz hiszpańskojęzyczny, autor ponad dwudziestu powieści, kilku sztuk teatralnych, eseista, nauczyciel akademicki, znawca literatury hiszpańskiej, publicysta, krytyk teatralny, laureat wielu prestiżowych nagród. José Saramago pisał o nim, że „Jeśli istnieje niebo, Torrente Ballester siedzi po prawicy Cervantesa”, co dla każdego miłośnika literatury wysokiej jest wystarczającą zachętą. Tłumacz, Wojciech Charchalis, dodatkowo zachwalał autora tymi słowami: „Torrente to gigant powieści, bez wątpienia jeden z najwybitniejszych pisarzy dwudziestego wieku. Nikt jak on nie potrafi uwieść czytelnika i wciągnąć go w zawiły, pełen uniesień labirynt historii, jednocześnie rozbawiając go do łez wysublimowanym poczuciem humoru” – nie dziwnego, że mój apetyt na książkę wzrósł. W nocy wydawcy przeczytałem, że w „Wyspie Ściętych Hiacyntów” Ballester „...bada genezę procesu twórczego: zamknięty świat powieści, prawdopodobieństwo, związki historii z fikcją i tekstu z autorem (...)”. – No, to bez wątpienia książka dla mnie! – pomyślałem. Dalej wydawca informował, że jednym z bohaterów powieści jest naukowiec, który „poprzez zastosowanie skomplikowanych teorii stara się dowieść, że Napoleon nigdy nie istniał – został wymyślony przez Nelsona, Metternicha i Chateaubrianda”. Ryzykowne, ale czemu nie, w końcu pisarz może wszystko, ogranicza go jedynie wyobraźnia, a skoro jedni wymyślili Ben Ladena, UFO, epidemię świńskiej grypy, to czemu by nie przyrzeć się bliżej Napoleonowi, który też być może jest zmyśleniem; ba, uważam, że można w literaturze nawet pójść dalej i zastanowić się, czy Hitler i Stalin też nie są jakimś wymysłem – w końcu, jak pisze sam Ballester „tak się dzieje ze wszystkimi ludźmi wymyślającymi fikcje, że ich propozycja, że ich oferta zawsze jest skierowana do ograniczonej liczby klientów”, więc i na podobne sensacyjne koncepty amatorzy by się z pewnością znaleźli. Na koniec poczciwy wydawca Zysk i S-ka dodaje, że „Postaci Cagliostro i Żyda Wiecznego Tułacza także pojawiają się w tej historii, gdzie erotyzm i melancholia mieszają się z ciętą ironią”. Czy trzeba wymagać czegoś więcej od dobrej literatury niż to, co zapowiada tekst od wydawcy i tłumacza?

Tak zachęcony zasiadłem z książką w fotelu i w dwa wieczory przeczytałem „Wyspę Ściętych Hiacyntów”. Cóż, widocznie nie należę do tych, do których Ballester adresował tę propozycję. Jedyne, co wydało mi się w tej lekturze ciekawe, to erudycyjne popisy autora, liczne nawiązania do historii i pewne jej frywolne podszczypywanie, modelowanie, wprowadzenie postaci Chateaubrianda, Nelsona, lady Hamilton, Cagliostro, Napoleona – jednak w sposób niekoniecznie zgodny z tzw. prawdą historyczną, więc dla miłośników historii rzecz to raczej bezwartościowa. Rzeczywiście, prawdą jest, że mieszają się u Ballestera rzeczy możliwe z niemożliwymi, rzeczywistość z fikcją: z jednej strony mamy zakochanego bez wzajemności w studentce wykładowcę i literata, jego kolegę – naukowca humanistę o kontrowersyjnych poglądach oraz dosyć ironicznie przedstawione środowisko akademickie (to zapewne wynik jego obserwacji w czasie czteroletniego pobytu w USA na Uniwersytecie Stanowym w Albany), a z drugiej wyspę

Gorgonę (istniejącą naprawdę, niedaleko Elby, jest tam kolonia karna), na której dokonuje się rewolucja i rzeź doprowadzona do skrajnej, absurdałnej już postaci, bowiem zostają ścięte nawet powszechnie hodowane w doniczkach hiacynty – stąd druga nazwa wyspy. Fikcyjny wątek Gorgony (choć wysepka ma też ciekawą, prawdziwą historię) służy Ballesterowi za pretekst do rozważań na temat natury władzy i jej nieposkromionej skłonności do degeneracji; autor dokonuje analizy rewolucji, przedstawia jej przyczyny, przebieg i skutki, zastanawia się nad ludzką kondycją, pokazuje jak tworzy się politykę i jak można manipulować bezmyślną masą, która wierzy bezkrytycznie w przedstawienie, projekcję, nie w twarde fakty i logikę; to studium degeneracji władzy, ducha, idei, i satyra na niesamodzielne intelektualnie społeczeństwo. Tyle z grubsza o szkielecie treści – treści samej w sobie interesującej. Jednak literatura to także forma. I tutaj nie jest dobrze: Ballester nazywa tę książkę „listem miłosnym z interpolacjami magicznymi” – rzeczywiście, jest i list, i interpolacje. Ale wszystko podane w sposób nudziarski, powolny, rozwlekły i pozbawiony magii, z przydługimi dygresjami, przez które autor nie trafia do celu albo trafia z opóźnieniem, do tego marudzi i głądzi, wije się i stęka, konstrukcja mu się rozpada, wszystko przypomina gęste, źle wyrobione ciasto pełne grud. Ballester z dziwnym upodobaniem delectuje się średnikami, nawiasami, a nawet nawiasami w nawiasach, ciągnąc potwornie długie zdania, przez co tekst traci na czytelności. I tak przez ponad 440 stron.

Mamy w tej książce do czynienia z typowym przykładem niezgodności towaru, czyli treści, ze specyfikacją, czyli z tym, co umieścił wydawca na okładce (opakowaniu) i w internecie – a książka to przecież towar, w końcu sam Ballester używa określeń „oferta” i „klient”. Myślałem, że chociaż znajdzie się ta obiecywana erotyka. Owszem, jest, ale nie za szybko, bo dopiero na str. 365 mamy z nią do czynienia, kiedy to pojawiają się wybrane mity greckie w niby teatralnej interpretacji kilku pań z towarzystwa, jednak Leda ogranicza się do stosunku z dziobem łabędzia a Danae jedynie zabawia się lubieżnie ze złotym brokatowym szalem – czysta wulgaryzacja pięknych starożytnych historii. Do tego sam opis tego teatru nudny, jakby pośpieszna i zdawkowa relacja z przedstawienia Leszka Mądziaka o papierze i folii, ale dla dorosłych. W sumie i tak jest to bardziej estetyczne widowisko (to w książce, nie u Mądziaka) niż wypięty goły zadek aktorki Szczepkowskiej, niemniej opowiedziane niemrawo, bez polotu, jakby autor bał się tematu, nie znał go albo sam nie wiedział, o co mu chodzi. Z ironią też u Ballestera słabo; pojawia się rzadko, a właściwie raz (dla ułatwienia dodam, że to w drugim akapicie na str. 284). Wysublimowane poczucie humoru jest tak wysublimowane, że niedostrzegalne. Ciekaw jestem, w których to miejscach tłumacz Charchalis śmiał się do łez. Albo ja jestem ponury jak księgowy w fabryce gwoździ, albo Charchalis to bardzo wesoły człowiek. Gratuluję, w takim razie.

Podczas lektury zastanowiła mnie nieco pisownia. Np. na str. 31 słuchają „Sonaty Kreutzerowskiej” w wykonaniu niejakiego Oistracka – czy może chodzi o skrzypka Dawida Ojstracha (ros. Ойстрпх, ang. Oistrakh)? Miasto Genua (wł. Genova) w dopełniaczu zawsze pisało się Genui, nie Genuy, jak chce wydawca (tłumacz?). Na str. 402 jest „z ócz”, zamiast z oczu; str. 405 „nie znanego” zamiast nieznanego. Dziwne zaniedbania korekty. Pojawiają się też, bliżej nie wiadomo po co, formy niby poprawne, ale dziwolągowe, zbędne, rzadko stosowane, jak np. na str. 376 „ździr” (zwykle: zdzir), stylistyczne nieudolności (str. 360 i koncert na słowo „który”), błędy merytoryczne i logiczne (cztery okręty w rzędzie idą kierunkiem NNW-SSW z wyspą na kursie, co jest niemożliwe, powinno być NNW-SSE). Poznajemy nowe właściwości światła („ogień kominka to oświetlał nas, to przyciemniał nam twarze”). Cieszy natomiast polityczna niepoprawność i użycie ślicznego, a prawie że już zakazanego w ćwierćinteligentkim świecie słowa „pedzio”. Brawo za odwagę, señor Ballester y señor Charchalis! ¡No pasarán!

Ballester dostał w 1981 roku za „Wyspę Ściętych Hiacyntów” Premio Nacional de Literatura, najważniejszą hiszpańską nagrodę literacką; innych nagród i wyróżnień, także zagranicznych, posiadał w swoim życiu więcej, niż kilku znacznie bardziej znanych pisarzy razem wziętych. Tak, to bez wątpienia ważna postać w literaturze, i dla niej zasłużona, a jego dorobkiem można by obdzielić kilku mniej płodnych autorów. W literackim niebie (piekle?) Tomasz Mann czy Fiodor Dostojewski kulą się ze wstydu ze swoim „skromnym” dorobkiem, jeszcze bardziej kuli się Bruno Schulz. Mam wrażenie (fakt, że po jednej powieści), że Ballester to klasyczny przykład

profesora literatury, który dużo o niej wie, sporo o niej pisze, jest doskonałym teoretykiem, nawet gawędziarzem, ale kiedy przychodzi do praktyki – czyli do TWÓRCZOŚCI, radzi sobie słabo. I nie pomogą tutaj orderzy, znajomości z faszystami, później z komunistami, występy w radiu i telewizji, doktoraty honoris causa i inne wyrazy uznania oraz towarzyskiej lojalności. Talentu kupić się nie da, i choćby mówiono o jego wielkości na wszystkich hiszpańskojęzycznych uniwersytetach, zawsze znajdzie się myślący student, jakiś Vitoldo Gombro, który zapyta „dlaczego Ballester wielkim pisarzem jest?” I nie sądzę, by jak chce tego Saramago, Ballester siedział po prawicy Cervantesa w literackim niebie – chyba, że jako jego doradca w kwestiach życiowej zaradności i lawirowania, bo to z pewnością wychodziło mu lepiej, niż autorowi don Kiszota.

W sumie nie wiem, dla kogo jest ta książka. Na pewno nie dla tych, którzy szukają tego, co wypisywał na okładce wydawca – ci mogą się domagać zwrotu pieniędzy. Na pewno też nie dla miłośników historii, bo ci szukają rzetelnej powieści opartej na faktach albo fikcji osadzonej w historycznych realiach. Dla wielbicieli fantazy i podobnych dyrdymałów jest za trudna. Zwolennicy kryminałów i Chmielewskiej zasną. Apologeci Masłowskiej i literatury przydennej mieli problemy w szkole, więc nie będą potrafili przeczytać i zrozumieć nawet strony tytułowej Ballestera. W zasadzie nie wyobrażam sobie, by ktokolwiek przez „Wyspę Świętych Hiacyntów” przebrnął. To, że jest mądra, że zawiera kilka niezłych literackich pomysłów oraz jest dowodem na pewną fantazję i wiedzę autora, to za mało, by uznać tę książkę za dobrą. Realizacja jest beznadziejna. Warsztat pisarski dziwaczny. Nuda. Głędzenie. Za dużo słów. Brak magii. Tutaj zwyczajnie Ballesterowi nie wyszło. To się zdarza nawet najlepszym, chociaż nie powinno. Więc czekam na kolejne tłumaczenia Galicyjczyka. Póki co, nadal do najwybitniejszych powieściopisarzy XX wieku będę zaliczał Manna, Haška, Gravesa, Nabokova, Bellowa i jeszcze kilkunastu prawdziwych magów literatury. Na tej liście Ballestera na razie nie ma.

Gonzalo Torrente Ballester, Wyspa Świętych Hiacyntów, Zysk i S-ka, Poznań 2009.